DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. — Poznań, 20 marca 1889 r. — Nr. 9.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski" w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Pojedyńczy numer „Domu pol." kosztuje 40 f. Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

WZAJEMNA MIŁOŚĆ

w wychowaniu szkolnem,

jej znaczenie, oraz środki budzenia jej u dziatwy

przez

Izydora Poechego,

byłego kierownika szkoły w Dąbrowie.

(Ciąg dalszy.)

Drobny ten ludek szkolny, zwłaszcza w pierwszych czasach, kiedy z rodzicielskiego domu wstąpi do szkoły, jest w wielu rzeczach na razie serdecznie niezręczny.

Waluś nie umie swego tornistra przypiąć, Maciuś odpiąć, Janek nie może zdjąć swojej kapotki, Franuś znowu jej wziąć nie umie... jednemu z malców trudno zapiąć płaszczyk przychodzi, innemu znów rozpiąć... i dalejże płakać! Nie ma innej rady, nauczycielu, trza mieć na to oko i pomodz! Uważaj sumiennie na stan zdrowia swych wychowanków; nie sadzaj ich przy rozpalonym piecu, co, jak drugi Moloch, niejednę pochłania ofiarę z twej szkoły, nie sadzaj ich przed otwartemi oknami — zwłaszcza w zimie, bo nabyte stąd reumatyzmy, łamania w kościach i porażenia złe kiedyś dadzą świadectwo o twej macierzyńskiej opiece! Widzisz, że ci dziecko w klasie zasłabnie, nie przetrzymuj go w tej zatęchłej łaźni, lecz przez współucznia odeślij je rodzicom. Widzisz w południe zimową porą wynędzniałe, od zimna skostniałe dzieci na ganku szkolnym, nie mijaj ich, nie spojrzawszy na nie z miłością, nie powiedziawszy słowa pociechy; każ przymknąć przynajmniej jedne drzwi i dozwól im w sieni choć częścią zapomnieć o głodzie, przeciągu i zimnie. O! nie wstydź się dobrego serca, takiej pomocy; bo kto je poczytuje sobie za ubliżenie... nie godzien być nauczycielem!

Nauczyciel ma być dalej w gronie dzieci czasami nawet — d z i e c k i e m; a będzie niem, jeżeli będzie wesół, swobodny. Patrz na swych malców; każdego ranka, w każde południe... jakżeż oni swobodni, weseli... i ty bądź takim, bo słusznie powiada niemiecki poeta:

„Hüpfen und springen,
Lachen und singen,
Jubeln und scherzen,
So recht von Herzen —
Das ist der kleinen Element;
Weh'dem, der diesen Zug verkennt!"

Jeżeli tedy chcesz być nauczycielem tych wesołych, swobodnych umysłów, natenczas, o ile to w twoich siłach, musisz się starać wyrobić w sobie to swobodne, dobroduszne, zawsze różowe usposobienie. A chociaż dla tysiącznych przyczyn rzecz to arcytrudna — pewnikiem zostanie, że nauczyciel winien w spojrzeniu, gestach, słowie i głosie okazywać czasem i tę dziecięcą swobodę, wesołość, jeżeli jego praca ma być skuteczną.

Nauczyciel zyskuje sobie miłość uczniów s p r a w i e d l i w e m i c h s ą d z e n i e m i o c e n i a n i e m i c h z d o l n o ś c i i p r z y m i o t ó w, tak intelektualnych, jak i moralnych. Aby zaś mógł temu zadaniu zadosyć uczynić, winien dobrze pamiętać o ważnej pedagogicznej zasadzie, zaczerpniętej z psychologicznej empiryi, że prawa i axyomata wychowania nie można w szkole ryczałtem d o o g ó ł u d z i e c i zastosowywać, lecz — do osobnikowej zdolności, sił i przymiotów, do i n d y w i d u a l n o ś c i k a ż d e g o d z i e c k a p o s z c z e g ó l e.

Oto masz przed sobą 60, 70, 80 dzieci obojga płci, różnego wieku, fizycznego ustroju i temperamentu — 60, 70, 80 dzieci, z których każde w odmiennych wyrosło warunkach, różne ma siły, chęci i nawyknienia. Masz w nich, jako dobroczynne wpływy przyrody w kiełku wzrost i udałość budzą, budzić wszystkie ich siły intelektualne i moralne ku rozwinięciu się, wzmożeniu, udoskonaleniu. Zapuszczajże ostrożnie i oględnie sondę w te różnorodne umysły i serca i do każdorazowej, osobnikowej wartości stosuj swoje wychowawcze wyrokowanie o zdolności, lub nieuctwie, o obyczajności, lub jej braku, o dobroci, lub znarowieniu serca swoich pupilów. Dla tego licz się z płcią,

wiekiem, zdrowiem i stanem każdego ucznia z osobna i do nich stosuj swój urząd cenzorski. Nie łaj, nie ofukuj trwożliwego pacholęcia, ale je ośmielaj, usamodzielniaj; a tę jego nieśmiałość temperamentom żywym, w sobie zaufanym, ciągle się narzucającym, za wzór stawiaj, jako zaletę skromności, godną pochwały i naśladowania. Nie gardź i nie potępiaj, nie piętnuj przykremi imioniskami nieuctwa i nieudolności upośledzonych na umyśle dzieci, ale budź w nich zaufanie i poczucie własnej godności, wspieraj tę ich nieudolność wszystkiemi siłami, bo i one mają prawo do twego serca, do bezpiecznego miejsca w twej opinii — a kto wie, jaki będzie wieczor dni ich postępu w życiu?! . . . Nie wynoś i nie przeceniaj geniuszków swej szkoły, którym wszystko łatwo, jakby we śnie przychodzi, bo cenzura i pochwała na istotnej zasłudze, na ciągłej, trudem i potem okupionej pracy, na żywych objawach dobrej woli podlegać powinny. Koledzy tych emancypowanych Salomonków przyznają im chętnie sami wyższość nad sobą i nie będą im jej nigdy zazdrościli — więc bądź sprawiedliwym, nauczycielu, skąp dla nich zbytnich pochwał, bacząc na ogromne trudy obok dobrej woli mniej uzdolnionych, byś ich tem nie ranił w sercu, nie odebrał im chwalebnej ochoty do dopięcia podobnych rezultatów, choćby w pocie czoła. Strzeż się satyry i dowcipnych apostrof na kalectwo i nędzę czy to materalną, czy moralną. Pacholę twoje w regule za nie nieodpowiedzialne; to grzechy obce, grzechy rodziców, za które, gdy ukarzesz dziecko — bądź pewny, że ono za to zesromocenie swej godności, swej miłości, i zaufania w twą sprawiedliwość nigdy ci nie przebaczy! Chcesz, szanowny kolego, pouczenia, wskazówki, jak sobie masz postąpić wobec takiej różnorodności talentów i nieuctwa, zalet i przywar swych dzieci, to już nie uciekaj się do martwych zasad pedagogii, ale szukaj nauki w tej mierze w miłości, o której apostoł w liście do Koryntyan tak się wyraża: „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest, miłość nie zajrzy, złości nie wyrządza, nie nadyma się, nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu, nie myśli złego, nie raduje się w niesprawiedliwości; ale się weseli z prawdy, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko wytrwa!“. .*) Uzbrojony taką miłością — mogę ci to zaręczyć — staniesz się sumiennym, sprawiedliwym sędzią wszelkich zalet i przywar młodzieży, zyskując tem niewątpliwie nawzajem ich miłość. Lecz nietylko, nauczycielu, masz być sprawiedliwym w ocenianiu swych uczniów, masz nadto być bezstronnym w ich traktowaniu. W tym względzie miej na pamięci przestrogę pedagogiczną, którą za Basedowem przytoczę: „Jedna dla wszystkiej dziatwy miara, jeden głos, wzywający wszystkich uczniów do wspólnej pracy, jedno dla wszystkich rodzicielskie napomnienie i jakby wezwanie do działania uzbrojonego jedną myślą zastępu dogadza najskuteczniej równemu całej szkoły traktowaniu, jedna nauczycielowi miłość dzieci.“ Jeżeli słusznie twierdzi Śniadecki: „Nie książką, ani piórem, ale niesprawiedliwością giną narody“ — to i to twierdzenie nie będzie dalekiem od prawdy, że, jeżeli miłość dzieci do nauczyciela nie ma zaginąć, zmarnieć — nauczyciela obowiązkiem będzie traktować dzieci bezstronnie. Ileż tu ma on przeszkod do zwalczenia! Jako człowiek, jest on krewki, w swoich zdaniach i sympatyi do ludzi stronniczy; a już uczony Grek przed Chrystusem powiedział, że: „zwyciężyć siebie samego, to rzecz najtrudniejsza.“ Wiem to sam z doświadczenia, że są niektóre dzieci tak miłe, tak sympatyczne, iż w jednej chwili szturmem niejako zdobywają serca nasze, są znowu i takie, że nam nieraz z trudnością przyjdzie do nich przemówić, z niemi obcować.

Lecz zaklinam cię, kolego, bądź tutaj sumiennym i oględnym. Ani się uwodź lubością jednej twarzyczki miłej, ani się zrażaj szpetnemi rysami drugiej, bo i w szpetnem, odrażającem ciele nieraz przeczysta mieści się dusza. Czyż dyament mniej z siebie wysela blasku i barw tęczowych, jeśli się znajdzie w brudnej pyłu zlepce? Czyż nie pomnisz Sokratesa, brzydkiego ciałem, lecz jaśniejącego rozumem i ducha zacnością? Pamiętaj, co mówi p. Staël, że „miłość twa ma być tem, czem jest słońce dla ziemi“. A czyż to słońce dobroczynne same tylko piękności ziemskie oświeca i ogrzewa? czyż jego promienie nie padają także na bagna i brzydkie uroczyska? Ażaliż mistrz Boski gardził trędowatymi i kalekami? Dla tego, nauczycielu, bądź bezstronnym; niechaj cię uroda, tytuły, majątek i pochodzenie jednych dzieci zbyt nie pociągają, obałamucają ani szpetność rysów, lub może kalectwo, nędza i opuszczenie drugich nie odstręczają; bo to dzieci tego samego ojca w niebiesiech, to wyznawcy tego samego Chrystusa, który za nich na krzyżu zawisnął.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Ad Corinthios XIII, v. 1—7.

DWA LISTY.

NOWELKA Z PISM POŚMIERTNYCH

Pauliny z L. Wilkońskiej.

Miłość macierzyńska jest najczystszą miłością.

Od dwóch dni spodziewano się w Zielęcinie powrotu pani Skalinieckiej z Kreuznach: sama dnia nie wiedząc, doniosła tylko, że od kolei extrapocztą przybędzie. To też dnia trzeciego wyglądano jej napewno.

Pokoje odświeżone, gotowe na przyjęcie pani, przebiegał w górę wystrzelony, smukły i urodziwy młodzieniec, syn jej, dwudziestoletni Jan, mając zawsze jeszcze coś do porządkowania.

W salonie, na stole przed kanapą, stał piękny bukiet z najświeższych kwiatów i koszyk z wybornym owocem i uśmiechały się z niego zarumienione brzoskwinie, śliwki modrym, niby nietkniętym pokryte pyłkiem, winograd i melon barwy złotawej — iście, jakoby na obrazie szkoły flamandzkiej.

— Mój Tomaszu, niech tylko wszystko będzie w pogotowiu! — powtarzał młodzian po raz trzeci, czy czwarty do starego sługi, który porówno z nim krzątał się wszędzie. — Czokolada, sucharki! . . mamy tylko patrzeć! — otworzył fortepian i rozłożył przywiezione z sobą *pot pourri* z pieśni i piosnek swojskich; zapuścił stor wzorzysty od strony południowej, by słońce sierpiowe zbytnie nie ogrzało pokoju i zapaliwszy cygaretko, wybiegł do ogrodu. I tutaj jeszcze jedno i drugie było do urządzenia i *aloes* na kamiennej podstawie pochylił się trochę, *oleander* parę zżółkłych miał liści — i cudne kwiecie świeżutkie a wonne pięknej *rosa-thea,* w porannej rozwite rosie, ukryte za liściem, potrzeba było wychylić więcej, by i ono powitało mateczkę. Chodniki były już od dni trzech czyściutkie, ale to wietrzyk kilka opadłych nawiał listków, to jakaś sucha zaległa gałązka — wreszcie i kwiat przywiędły, który pewnie córeczka ogrodnika, swawolna sześcioletnia Kasia, młodego pozbawiła życia, a nabawiwszy się nim, porzuciła biedaka — jak to i dorosłe, swawolne dzieci z ważniejszemi nawet przedmiotami uczynić potrafią.

— Gorgolewski! Gorgolewski! — zawołał Jan —

a nie kwitnie tam który *rododendron?* — gdy w tejże chwili ozwała się trąbka pocztarska i młodzian, nie dosłyszawszy odpowiedzi, szybko na dziedziniec wybiegł.

Przede dwór zajechała pocztowa kareta, w której dwie kobiety siedziały.

— Janku! — zawołała starsza, a Janek przyskoczył i drzwiczki szybko otworzył.

Po stopniach karety spuściła się kobieta czterdziestoletnia, piękna jeszcze, z przechowaną barwą świeżości na uśmiechniętem licu, kształtnej kibici, w ciemnych sukniach podróżnych.

— Mój chłopcze! mój Janku! — przytuliła matka syna w objęciu. Jakaż to niespodzianka! Nie myślałam ciebie tu zastać!

— Przybyłem wcześniej, by mamę przywitać . . . . i miałem interesu trochę.

Janek zostawał dotąd na akademii agronomicznej w *.

— Chodźmy, mateczko! — i wprowadził ją do pokoju.

Panna służąca tymczasem z całą witała się służbą: jeden chwytał pudełko, drugi torbę podróżną, inni nieśli walizę — i ruch był ogólny a wesoły, bo pani Skaliniecka umiała posiąść przywiązanie sług swoich.

— I coż tam, matuchno jedyna! — wymówił Jan z błyszczącem radośnie wejrzeniem, gdy matka kapelusz zdjęła — mateczka cudnie wygląda! dodał, składając przed nią dłonie — odmłodniała o lat dziesięć, piętnaście, dwadzieścia! Świeżutko, ładniutko! O! błogosławione to źródło, które nam mateczkę taką powraca!

Pani Skaliniecka zapłoniona, z dziwnym jakimś uśmiechem, niby pomieszana nieco, uderzyła syna lekko po ramieniu, pocałowała go w czoło — i chwytając myśl inną, zapytała nagle.

— A czy byłeś też u pana Swierzyckiego?

— Byłem, mateczko.

Pan Swierzycki był opiekunem dzieci pani Skalinieckiej, owdowiałej od lat kilku.

— Ale, mateczko! — dodał Jan, przechylając z uśmiechem głowę — byłem i gdzieś jeszcze!

— To i gdzież?

— Mateczko . . . odwiedziłem Zosię na pensyi.

— Moję Zosinkę! Moję dzieweczkę kochaną! — zawołała matka, odsuwając niedopitą filiżankę czokolady. Coż tam dziecko moje porabia?

— Zdrowiutka a śliczna! Wyrosła jak topolka i przerosła już mateczkę. A świeża, jak kwiatek.

— Nie widziałam jej od pół roku! — i niby żal odbrzmiał w głosie pani Skalinieckiej.

To też od tego czasu zmieniła się prawie nie do poznania.

— Odwiedzę ją zaraz . . . odwiedzę ją w końcu września.

— Mateczko . . . a ja powiem lepiej: potrzeba ją na św. Michał odebrać z pensyi.

— Co ty mówisz?! — zapłonęła znowu matka — lat piętnaście . . . to jeszcze dziecko . . . Cożby w domu robiła?

— Mateczko, nie moją jest rzeczą dawać rady pod tym względem, ale małą tylko uczynię uwagę. Jeden z kolegów moich opowiadał mi, że panienka, pensyonarka także, wielce zaprzyjaźniona z Zosią, ma romansik z bratem jego i pisuje nawet do niego.

— Przez Boga żywego! — porwała się matka.

— Tak, tak, mateczko, sam nawet pare z tych listów czytałem.

— To fatalna jest sprawa!

— Przerażony zatem tą wiadomością, pospieszyłem do Zosi. . .

— I coż? I coż? — matka splotła ręce nagłym ruchem, rumiana i zaniepokojona do żywego.

— Nic, matuchno, nic! Zastałem Zosię wesołą, pełną szczerej prostoty: istne dziecko, i odetchnąłem. . . Ale zawsze podobno lepiej, że odtąd będzie pod okiem matki.

— Taka młoda! . . Chcę ją przynajmniej rok jeden jeszcze na pensyi zostawić.

— Ma już zupełnie pozor panny dorosłej. I państwo Swierzyccy radzili, by edukacyi swojej dokończyła przy mamie.

— Hm! . . To kłopot! poszepnęła pani Skaliniecka, pokręcając głową.

— A Zosia, jakaż była uszczęśliwiona, gdym jej nadmienił, że może na św. Michał do mamy powróci. Aż podskoczyła, i poznałem całą niewinność jej duszy, jej serce dziecięce i przeczyste uczucia.

— Kochane dziecko! — wymówiła matka ze łzą w oku.

O! mamo, jakiż to kwiatek cudny! Ona mateczce da szczęście, ona życie nasze rozjaśni!

— Ale . . . ach! Boże — westchnęła pani Skaliniecka, i zaciężyła jej myśl jakaś, że aż pobladła.

Janek nie mógł zrozumieć matki — nie mógł pojąć, co ją niepokoi tyle.

Mateczka poszuka jej dobrej nauczycielki, pan K. z miasteczka będzie jej muzyki udzielał — zaczął Jan po chwili, usiłując ulżyć zamyśleniu matki — a zresztą to mateczka z nią przez zimę w Warszawie zamieszka.

— To wszystko kłopoce mnie niezmiernie — poszepnęła znowu pani Skaliniecka i przycisnęła ręką czoło.

— No, no, mateczko! — ujął Jan jej drugą rękę i przycisnął do ust — nie smucić i nie kłopotać się bez potrzeby! — i pocałował ją w kolana. — Uśmiechnij się, matunio! Ach! żałuję, żem zaraz na wstępie kłopotliwych napędził mateczce myśli. . . Matuchno, wszystko będzie dobrze! — i znowu przymilał się matce, dopóki uśmiechu na jej nie wywołał lica.

— A teraz przejdźmy się po ogrodzie dodał — podając jej rękę. — Chodźmy! Pomówimy o czem innem, a potem uradzimy coś stanowczego i po Bogu — i zapytując o K r e u z n a c h, o wody i towarzystwo tamtejsze, wyprowadził matkę z salonu.

* * *

W dni kilka po powrocie matki, wybierał się Jan na obchód imienin krewnego, mieszkającego o mil kilkanaście od Zielęcina. Zrana już wszystko było do podróży gotowe, i po drugiem śniadaniu ochoczo raz jeszcze pobiegł do swojego pokoju, by zobaczyć czyli nie zapomniał czego. Po chwili posłyszał turkot przede dworem, i sądząc, że to jego powóz, już miał służącemu powiedzieć, że o całą godzinę zawcześnie zaprzężono — gdy matka jego weszła do pokoju.

Jan zwrócił się ku niej, i uderzył go szczególny nieokreślony wyraz ukochanego lica: pani Skaliniecka była więcej rumiana, niż zwykle, jakaś podniecona, pomieszana zarazem, a przytem uśmiechnięta — przymusowo niby.

— Janku! — wymówiła — Janku! . . Szkoda, że odjeżdżasz . . . bo gość przyjechał. . .

— Kochana, jedyna mamo — i biorąc wypieszczoną jej rękę w dłonie obiedwie, przycisnął ją do ust — obowiązek przyjaźni i pokrewieństwa mnie woła! . . Ktoż przyjechał?

— Znajomy z K r e u z n a c h . . . w przejeździe wstępuje . . . jąkała się niby — byliśmy wiele razem . . . jest to pan Władysław Runowski z Warszawy . . . literat . . . chciałabym, ażebyś go poznał.

— Toż jeszcze godzinę mam czasu. Schodzę z mateczką.

Gdy zeszli do salonu, przedstawiła pani Skaliniecka:

— Syn mój, Jan. Pan Runowski.

Ten ostatni uprzejmym wyrazem i serdecznem uściśnieniem ręki od razu zdobył sobie życzliwość młodego chłopca — tyle skorego do poddania się wrażeniu każdemu, bo z młodzieńczem ciepłem obejmował wszystko; a w tej chwili łączył Janek jeszcze i wdzięczność dla

gościa: że matce ukochanej złożył ten hołd pamięci i szacunku, nie pominąwszy Zielęcina.

Pan Runowski nie liczył może więcej jak lat trzydzieści, był przystojny, ładnych rysów twarzy i przyjemnego wyrazu; miał umysł wykształcony i wielką ogładę światową.

Rozmowa toczyła się ożywiona, pełna interesu — i żal było Jankowi, gdy powóz zaszedł, że tak miłego towarzystwa odstąpić musi. Uścisnęli się serdeczniej jeszcze — i matka i gość wyprowadzili odjeżdżającego przede dwór.

W tymże czasie panna służąca — towarzyszka pani Skalinieckiej w Kreuznach — coś tam panu pisarzowi, kucharzowi i szafarce szeptała, że pan Runowski bardzo często panią u wód odwiedzał; że jej wielkie czynił grzeczności, przynosił bukiety, książki — i . . . dodała ciszej jeszcze — że mówiono, jakoby się o rękę pani Skalinieckiej starał. To wszystko wszelako zupełną dla reszty służby pozostało tajemnicą, bo gdyby stary Tomasz i jedno o tem był dosłyszał słówko, to zaraz gromiłby strasznie, że bajki robią i przez próżniaczkę pańskiemi zajmują się sprawami, które do nich nie należą wcale.

To też one pogadanki panny Szpilkowskiej nie rozeszły się dalej. Pan Runowski po dwóch dniach odjechał — a gdy Jan dnia czwartego powrócił, zastał mateczkę wyglądającą ładnie — wesoło — ale i zamyśloną jakoś — i niby pomieszaną, czego sobie bynajmniej wytłomaczyć nie umiał.

(Dokończenie nastąpi.)

BEZ DOMU.

Zdala od wioski, wśród wichrów i słoty,
Z ojczystej ziemi i rodzinnej chaty
Błądzą przez nędzę wygnane sieroty,
Swej ojcowizny opłakując straty.

Dola sieroca i powinność twarda
Wiedzie ich kroki przez dzikie rozłogi,
Wybladłe lica ścisnął ból i wzgarda,
Bo przyszłość ciemna nie rozwidnia drogi;

Bo na pamiątek ukochanych grobie
Ból wszechmiłości, straszną boleść serca,
Spowitą w smutku, spowitą w żałobie,
Krwią i łzą znaczy ten los — przeniewierca.

A pośród nocy nieprzepartych cieni
Krew najgorętsza w żyłach kamienieje;
I zamiast blasku ożywczych promieni,
Wicher po stepach pieśń żałoby pieje,

I tajemniczem, zimnem swojem tchnieniem
Przenika trwogą i ducha i serce,
Że myśl poczęta wraz już jest cierpieniem,
A zapał stygnie w bezdusznej rozterce.

Och! bo na grobach, na zimnej martwicy,
Na świętych uczuć zakrwawionych kwiatach,
Pośród samotnej wygnania tęschnicy
Płynie dzień po dniu, ach! lata po latach;

Bo dla bezdomnych, wygnanych tułaczy
Z własnego domu i z własnej ojczyzny
Pieśń beznadziejnej i głuchej rozpaczy
Podaje napój, lecz napój trucizny.

Józef Siemianowski.

O czytaniu.

(Dokończenie.)

W ostatnich czasach niektóre redakcye pism ogłaszają konkursa na poezye, nowele itp., które mają rozstrzygać prenumeratorowie. Jest to nowość o tyle lepsza od zwykłych konkursów, iż tam sędziowie znużeni zmudną pracą odczytywania rękopisów nagradzają pierwsze lepsze dzieło.

Redakcya „Pall-Mall-Gazette“ postąpiła inaczej: zapytała czytelników, jakie powieści angielskie uważają za najlepsze.

Sprawozdawca „Czasu“ pisze o tem: „Nadzwyczaj liczni prenumeratorowie dziennika złożyli w ten sposób rodzaj plebiscytu, stanowiącego o wartości najgłośniejszych angielskich romansów. Ponieważ należą one do międzynarodowej literatury, ponieważ u nas powieść angielska powszechnie była uprawianą z większem zaufaniem, a bodaj i gustem od francuzkiej, odstręczającej realizmem i niemoralną tendencyą, plebiscyt angielskiej publiczności nie pozostanie obojętnym dla czytelników polskich z dwojakich względów: najpierw dla samej treści uznanych za arcydzieła powieści, a potem jako ciekawe tętno sądu i smaku u rodowitych Anglików, a stąd sposobność porównania ich wyroku ze zdaniem cudzoziemców o wybitnych ich literatury powieściowych płodach. Na zapytanie, która powieść nad wszystkiemi innemi góruje? olbrzymia większość oświadczyła się za „Targowicą próżności“ (Vanity Fair) Thackeraya.

Dickens znalazł odwet przy drugiem pytaniu: który romans humorystyczny jest najlepszym? Prawie jednogłośnie przyznano wyższość Pickwickowi i bodaj nikt z innem nie wystąpił zdaniem. Przy kwestyi porównaczej wartości historycznych powieści zwyciężył Walter Scott z „Iwanhoe“, choć inne głosy rozbiły się na inne jego utwory, tudzież na „Ostatnie dni Pompei“ Bulwera. Najmniej może jednomyślności ujawniło się przy głosowaniu nad romansami, wstępującemi w szranki dla obrony postawionej z góry tezy. Większość głosów otrzymał Karol Reade dla swej powieści: „It is Never too late to mend“ ale i „Chata wuja Tomasza“ pani Beecher Stowe wcale pokaźną zyskała liczbę głosów, wreszcie wiele z nich się rozbiło na przeróżne, mniej głośne powieści.

Zpośród sensacyjnych romansów przyznano prym „Niewieście w bieli“, „The woman in white“ Wilkie Collinsa, choć pewna liczba czytelników oświadczyła się bądź za „East Lynne,“ dramatyczną opowieścią pani Wood, bądź za patetycznym utworem Charlotty Brante, „Jane Eyre“, bądź nareszcie za „Tajemnicą Lady Andby“ panny Braddon.

Zpośród sielskich, wiejskich powieści zwyciężył Adam Bede George Eliot. „Robinson Kruzoe“ został uwieńczony tytułem najlepszej książki dla dzieci. Nareszcie na zapytanie, która powieść pod względem fantazyi góruje, w któ-

rej wyobraźnia wysnuła najbardziej zajmującą sieć nadzwyczajnych zdarzeń i wrażeń, znaczna większość odpowiedziała przyznaniem pierwszeństwa utworowi mało znanego dotąd autora, który świeżo dopiero wstąpił w szranki i zaledwie trzy powieści napisawszy, już na to zasługuje, aby druga z nich: „She“ otrzymała palmę wśród ogólnego współzawodnictwa dzieł imaginacyjnych. Autorem tym jest H. Rider Haggard“.

Publiczność tak osądziła swe piśmiennictwo w r. 1887, krytyk zaś angielski, Józef Cook, jako największe dzieła XIX wieku wylicza: „Tytan“ J. P. Rychtera, „Wilhelm Meister“ Göthego, „Nędznicy“, Wik. Hugo, „Ivanhoe“ Walter Scotta — „The Newcomes“ Thackeraya i „Chata wuja Tomasza“ pani Stove.

Zsumowawszy powyższe zdania, wynika, iż należy czytać uważnie, umiejętnie i porządnie. — W Szwecyi i Norwegii uważają pożyczenie dzieł za „nieprzyzwoitość,“ a nieoddanie za „zbrodnię.“

Dla tego w każdym domu jest doborowa biblioteka, a nierzadko się zdarza, iż jakieś arcydzieło posiada każdy członek rodziny na własność swoję.

U nas inne panują zwyczaje. — Pożyczona książka idzie w zapomnienie — a gdy się ją odda, najczęściej biedaczka więcej nadaje się do śmieciarni, niż do biblioteki. Nie dziw więc, że mało jest chętych do podobnych ofiar. — „Książka to przyjaciel“ — mówi Lubbock — własna, czy cudza, wymaga względnego obchodzenia się — nie trzeba więc jej miąć, zaginać, rzucać, plamić. Gazety i pisma również pod to prawidło podciągnąć należy. Ażeby zapobiedz mnożeniu się papierów, najlepiej wyciąć z gazet odnośny, ważniejszy ustęp, jako też felieton, a resztę odrzucić. Czasem wobec innych wiadomości przejrzy się przelotnie odcinek, lub z nieponętnym tytułem odłoży lekceważąco — a właśnie tam może znajdować się coś ciekawego, co później z przyjemnością ktoś przeczyta. U nas dobre są szczególniej odcinki „Czasu“ i „Gazety lwowskiej“.

J. D.

KONIEC.

TEATR.

W czwartek 7b. m. odbył się benefis p. Ludwika Siedleckiego, jednego z najzasłużeńszych i najstarszych przedstawicieli sceny naszej.

Publiczność tem liczniej zebrała się na powyższy benefis, że był on połączony z owacyą na cześć p. Siedleckiego z okazyi 25-cio letniej działalności jego na polu artystycznem.

W imieniu „Dyrekcyi spółki teatralnej“ przemówił pan Fr. Dobrowolski w słowach serdecznych i pełnych uznania, ofiarując jubilatowi piękny pierścień brylantowy. — Dalej podniosł p. Więckowski imieniem obywatelstwa w krótkich, lecz rzewnych słowach trudny i mozolny zarazem zawód artysty, któremu jubilat od 25 lat się poświęcił i na tem pełnem cierpkich doświadczeń stanowisku całe ćwierć wieku wytrwał.

Z kolei przemówił p. Skirmunt w imieniu zgromadzonych artystów i artystek, oddając hołd i cześć jubilatowi, jako mężowi, który od swej młodości przyświecał swoim kolegom i rówiennikom prawością i wielką sumiennością w wypełnianiu obowiązków mozolnego zawodu artysty dramatycznego — oraz przykładem wzorowego poszanowania sztuki, której poświęcił życie swoje. Jubilat, wzruszony do głębi takim wyrazem uznania i sympatyi, ledwie w kilku serdecznych słowach zdołał licznie zebranej publiczności podziękować.

Komedya Sewera „Pojedynek szlachetnych“, wybrana na benefis przez pana Siedleckiego, po raz pierwszy graną była na scenie naszej, a odznacza się treścią poważną, akcyą dość żywą i zbiorem oryginalnych charakterów ze świata angielskiego, jakkolwiek u nas nie może budzić żywszego zajęcia. Krótka treść sztuki jest następująca.

Juliusz Stanlay (p. Janowski), młody, ambitny profesor, zakochał się w Lidyi (p. Pankiewicz) kuzynce dwóch bogatych lordów, Burghleyá (p. Siedlecki) i Harvay'a (p. Skirmunt) sądząc, że jest ona nauczycielką tylko i sierotą.

Wkrótce jednak dowiaduje się, że Lidya należy do najbogatszych sfer towarzystwa londyńskiego. Juliusz zrozpaczony chce uciec, bo sądzi, że rodzina Lidyi oprócz majątku i tytułu nic uszanować nie umie, a ludźmi pracy pogardza, depcąc wszystko, co dla nich święte, nogami. Dwaj opiekunowie Lidyi jednakże, poznawszy w Juliuszu człowieka szlachetnego, pełnego zdolności i godnego należeć do ich rodziny, wiążą go, by tym sposobem zapobiedz zerwaniu Stanlay'a z Lidyą. Tymczasem lord Burghley, milionowy par Anglii, uzyskuje akt adoptacyi u królowej, mocą której Juliusz staje się spadkobiercą lorda majątku i nazwiska. Przeszkoda zostaje usuniętą, a Lidya łączy się dozgonnym węzłem z Juliuszem.

Dwie główne postacie komedyi, lord Burghley i Harvay, spoczywały w rękach pp. Siedleckiego i Skirmunta. Dwaj ci lordowie o równych charakterach, równych słabostkach i cnotach znakomicie przedstawieni zostali. Doskonale uwydatnili dwaj nasi artyści z jednej strony dumę rodową lordów angielskich, oburzających się na zawarcie związku Lidyi z człowiekiem „bez nazwiska“, z drugiej zaś pokorę w uznaniu jego wyższości umysłowej nad nimi.

Świetną była także kreacya pana Trapszy w roli Pecocq'a, dozorcy więzień. W każdym ruchu, w każdem spojrzeniu malowało się to bezgraniczne przywiązanie sługi do swych panów, gotowego oddać życie za nich jedynie z poczucia wdzięczności i obowiązku. Zwrócić musimy uwagę sz. Czytelników, na świetne ucharakteryzowanie się p. Trapszy, które śmiało nazwać można dziełem mistrzowskiem.

W roli starej Peggi, piastunki Lydyi, okazała nam p. Siedlecka doskonale, że jest artystką myślącą, umiejącą przejąć się na wskroś kreacyą swoją.

P. Pankiewicz, jako Lidya, i p. Janowski, jako Stanlay, sympatyczną przedstawili nam parę kochanków.

Reszta ról wykonaną została z należytem zrozumieniem.

W przeszłym tygodniu z powodu zjazdu delegatów kółek rolniczych grano codziennie komedye: hr. Fredry „Wielkie bractwo,“ Abrahamowicza i Ruszkowskiego. „Pospolite ruszenie,“ Jasieńczyka „Lenę“ i „Krakowiaków i górali“ Bogusławskiego.

O komedyach tych, publiczności naszej znanych, rozpisywać się nie będziemy, nadmieniając tylko, że we wszystkich artyści nasi świetnie się z ról swoich wywiązali.

Ż.

LIST
Władysława Syrokomli
do Pauliny z L. Wilkońskiej.

II.

Borejkowszczyzna pod Wilnem, d. 19 czerwca 1 lipca 1856.

Serdecznie dziękuję za miły list Pani z dnia 12go bm., który temi dniami otrzymałem przez księgarnię Zawadzkiego. Istotnie, adresowanie na jednę z księgarni wileńskich ułatwi zawsze dojście listu.

Dziękuję za przysłanie biografowi paryzkiemu listu mojego do drogiej mi pomięci Augusta, nie pamiętam, co i kiedy doń pisałem o szczegółach mojego życia, ale, nie znając osobiście, takem dobrze poznał mojego korenspondenta, iż pewien jestem, żem przed nim musiał otworzyć całą duszę; list więc ów będzie dobrym materyałem. Od owego czasu (około czterech lat) w biednem tem życiu zaszły niewielkie, ale stanowcze zmiany. Dotknięty stratą trojga dzieci, które w jednym tygodniu pomarły, porzuciłem w 1853 Załucze, skąd pisywałem do Państwa, a którego widok rozraniał co moment zbolałe serce — i przeniosłem się zrazu do Wilna, potem o 2 mile od stolicy Litwy, do małej dzierżawy; a tak, mieszkając wpół na wsi, wpół w mieście, bojuję z życiem i jego materyalnemi potrzebami. Zarzuty, czynione mi przez gazeciarzy warszawskich, że pracuję pospiesznie i drukuję wiele, są w znacznej części sprawiedliwe, ale położenie moje, wkładające święty obowiązek utrzymywania trzech domów rodzinnych, znagla mię do pospiechu. Rodzice moi skutkiem niegodziwości zarządu dóbr Wittgensteina przyszli do zupełnego ubóstwa: zamężna siostra moja, otoczona dziatwą, także wymaga pomocy, ja sam temu podoływać muszę, a z natury jestem bezradnie nieumiejący obchodzić się z groszem, a tu na Litwie skutkiem kilkoletnich nieurodzajów taka drożyzna, że trudno sobie dać radę. Muszę, jak galernik, przykuty do taczki drukarskiej, pracować pospiesznie; nie mogę, jak Horacyusz, po dziewięć lat wygładzać mych utworów, bo toby znaczyło skazać na śmierć z głodu 11 osób mojej rodziny. Dosyć o tem — na obrócie łączę spis rzeczy, dotąd drukiem przeze mnie ogłoszonych*).

*) Spis ten poniżej dosłownie zamieszczamy, jako najautentyczniej w chronologicznym porządku podany szereg poematów Wł. Syrokomli. (P. R.)

Spis rzeczy ogłoszonych drukiem p. Władysława Syrokomlę.

Gawęd i rymów ulotnych tomów cztery (piąty pod prasą) Wilno 1853—1856.
Dzieje literatury tomów dwa (trzeci pod prasą) Wilno 1849—1850.
Przekłady Poetów Polsko-łacińskich tomików pięć — Wilno 1851.
Dziejopisowie krajowi (Łasicki, Gorecki, Sobieski, Solikowski, Fredro) tomów dwa S. Petersburg. 1856.
Historya Rewolucyi francuzkiej, przekład z Poujoulat'a tomów dwa — Wilno 1850.
Polska przekład z Kromera tomów jeden — Wilno 1853.
Spowiedź pana Korsaka. Gawęda — Wilno 1854.
Sen wieszcza, opera (przerobienie z franc. do muzyki Moniuszki) 1854.
Margier, poemat z dziejów Litwy. Wilno — 1855.
Córa Piastów, poemat z dziejów Litwy — 1855.
Zgon Acerna, poemat 1855.
Dęborog, gawęda szlachecka, 1853, wydanie drugie, 1855.
Chatka w lesie, dziwactwo dramatyczne w dwóch częściach. 1855.
Hrabia na Wątorach, krotochwila — 1856.
Wielki czwartek, gawęda ludowa — 1856.
Janko Cmentarnik, gawęda ludowa 1856.
Stare wrota, poemat (pod prasą).

Słyszałem już o atakach Przeglądu poznańskiego. Co począć? to już kwestya zasad, których ani redakcya, ani ja nie zmienimy. Nie zostanę nigdy zwolennikiem pietyczno-arystokratycznych opinii; cieszę się przynajmniej, że ludzie, co na mnie napadają, są ludzie światli i dobrej wiary, że zatem ataki muszą sumiennie pochodzić z ich przekonania, nie, jak w Warszawie, gdzie polemika dziennikarska, oparta na myrmidońskich punktach wyjścia, człowiekowi, co jeno Bogu duszę winien, zadaje dotkliwe ciosy. Bóg z nimi! artykuły w „Gazecie poznańskiej“ czytuję niekiedy, bo Gazeta, lubo straszliwie cięta przez cenzurę, do nas dochodzi. Mamy w tym roku zbytek, dawniej niedozwolony, mamy Czas krakowski, Nowiny lwowskie, a do mnie przekrada się czasem, Szkółka niedzielna, której mi poczciwy Żupański dostarcza.

Miły symptomat objawia się tutaj, to powszechne zajęcie, jakie literatura obudza. W Wilnie mnoży się liczba księgarni, kilka drukarń w ciągłej pracy, piszący nie umierają z głodu w literalnem znaczeniu wyrazu, szkoda tylko, że nas tak mało, że koterye i koteryjki rozrywają nasze szczupłe kółko. O! biedna naturo polska, kiedy duch scysyi przestanie bruździć w twej pięknej duszy! Dziękuję za słówko współczucia o moich pieśniach, nie wątpię, że są szczere te wyrazy, nie wątpię, że się rozumiemy z Panią, bo naszym wspólnym tłomaczem jest — cierpienie.

Szczęść, Boże! w zacnym trudzie, dodawaj sił tak pożytecznie na wspólne dobro obracanych!

Cześć najwyższą, przychylność najżyczliwszą proszę przyjąć od

Wł Syrokomli.

W ostatnim zeszycie „Cmentarza powązkowskiego“ z radością dostałem portret śp. Augusta, ale mię zmartwił Moniuszko, który go dobrze znał, twierdząc, że portret niepodobny.

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

Alexander hr. Fredro wykończył jednoaktową komedya p. t. „Hypnotyzm.“

„Nowiny raciborskie“, pismo poświęcone ludowi, zaczęło wychodzić dnia 16-go marca r. b. w Raciborzu. Godłem jego są na czele wypisane słowa: „Oświata i praca naród zbogaca,“ których znaczenie wyjaśnia artykuł wstępny, zwrócony do Górnoślązaków, wzywający ich do umiłowania pracy i oświaty i popierania prenumeratą nowo powstałego pisma. Głównym celem i zadaniem „Nowin raciborskich“ jest „służyć zdrową, chrześciańską radą w każdej potrzebie życia społecznego, budzić zamiłowanie do języka polskiego, podając zdrowy pokarm duchowy, który zajmie i rozerwie po ciężkiej pracy dni powszednich.“ W artykule p. n. „Co tam słychać w świecie“ znajdują się treściwie i przystępnie podane najważniejsze wiadomości polityczne z krajów europejskich, a nawet z innych części świata. W dalszym ciągu czytamy sprawy sejmu pruskiego, pomniejsze wiadomości polityczne, dalej dział korespondencyi, wiadomości p. n. „Z blizka i z daleka“, zapiski z gospodarstwa domowego, piosnkę dla ludu ślązkiego i „Ostatnie wiadomości.“ W odcinku p. n. „Czemu Raciborzanie obrali sobie św. Marcelego za patrona?“ opisane jest historyczne zdarzenie z czasów napadu na Polskę około r. 1240 dzikiej hordy Tatarów. Wszystkie wspomniane artykuły tego pierwszego okazowego numeru „Nowin raciborskich“ napisane stylem i językiem poprawnym, jasno, przystępnie i zajmująco mogą rzeczywiście w chwilach wytchnienia i spoczynku po pracy być nader pożytecznem i miłem za-

jęciem, a zarazem szlachetną rozrywką dla ludu górnośląskiego. „Nowiny“ wychodzą w każdą środę i sobotę tygodnia nakładem p. Ignacego Rostka, pod redakcyą p. J. K. Maćkowskiego, a prenumerata wynosi 1 markę kwartalnie. Nowemu temu wydawnictwu przesyłamy szczere, staropolskie: „Szczęść Boże.“

„Nadgoplanin.“ Już trzeci rok wychodzi pod powyższym tytułem pismo ludowe, szczerze katolickie i polskie i to dwa razy tygodniowo z dwoma bezpłatnemi dodatkami: „Matka chrześciańska“, poświęcona wychowaniu młodego pokolenia, i „Nasza gazetka“, nauczyciel, przyjaciel i przewodnik naszej dziatwy, dziś tak bardzo opuszczonej i zaniedbywanej przez szkołę. Artykuły „Nadgoplanina“ są nader piękne i pouczające, na szczególniejszą zaś uwagę, obok pięknych powieści, zasługuje „Katolik w swojej wierze“ czyli wykład katechizmu w przykładach tak pięknych, pouczających i popularnych, że dziś w tej walce o naszę wiarę i narodowość „Nadgoplanin“ śmiało do najdzielniejszych szermierzy o najdroższe skarby nasze zaliczony być może. Dla tego też jak najusilniej go Szanownym Czytelnikom polecamy, a to tem więcej, że mimo bezpłatnych dodatków cena jego bardzo umiarkowana, kosztuje bowiem na kwartał 1 markę. Polecając tedy to tak dobre pismo, wychodzące na Kujawach, Szanownym Czytelnikom naszym, prosimy, aby je jak najliczniejszym abonamentem poprzeć raczyli.

Liczne, z przeszło 60 osób złożone grono literatów, obywateli i młodzieży akademickiej uczciło zasłużonego i wielce popularnego dramaturga, Józefa Blizińskiego, urządzając dlań ucztę w Krakowie w zeszły poniedziałek, d. 18 b. m. Inicyator uroczystości, a brat po piórze autora „Pana Damazego,“ Michał Bałucki, wniósł pierwszy toast, kładąc w nim główny przycisk na tę prawdę, że bohater dnia, Józef Bliziński, jedynie talentem i pracą zdobył sobie powszechne w ojczyznie uznanie, a choć utwory jego należą do arcydzieł dramaturgii naszej, odznaczał się zawsze bezprzykładną skromnością. Toast ten zakończył mówca wręczeniem solinizantowi zbiorowego upominku w postaci pięknego, złotego zegarka. — Dalej przemawiali: p. Karol Estreicher, jako dawny profesor solenizanta; p. Glikson w imieniu teatru krakowskiego; p. Adam Dobrowolski udatnym wierszem w imieniu młodzieży akademickiej; również wierszem przemawiali: dr. Adam Bełcikowski, p. Józef Orłowski i artysta dramatyczny, p. Śliwicki. Poeta, dr. Adam Asnyk, zaznaczył, że gdy biedna ojczyzna nasza nie ma do rozdania żadnych godności, więc jedynie w skupieniu ducha brać duchowa czcić może zasłużonych narodowi mężów: „Imieniem jej wnoszę toast: Niech żyje Bliziński i pracuje na sławę Polski i swoję!“ — Szanowny solenizant całe swe wzruszenie w skutek serdecznych przemówień, również i podziękowanie wyraził w staropolskiem „Kochajmy się,“ zaprawiwszy — mimo wzruszenia — swój dziękczynny toast znaczną dozą wrodzonego sobie humoru. Wśród uczty odczytał p. Zygmunt Sarnecki liczne, z różnych stron Polski nadeszłe talegramy, a po uczcie wszyscy na niej zgromadzeni odprowadzili szan. solenizanta do domu.

Teatr francuzki — robi słuszną uwagę pewien paryzki korespondent — „przechodzi obecnie moralne i materyalne kryzys, na które składa się wyczerpana twórczość dramaturgów i zblazowanie publiczności.“ — Tacy mistrze, jak: Sardou, Meihac, Dumas, Feuillet starzeją się, a młode siły nie ukazują się wcale, lub poniżają sztukę dramatyczną skandaliczną treścią swych utworów. Jest to ciekawy i ważny przyczynek do charakterystyki obecnych czasów i żyjącego w nich społeczeństwa francuskiego zamiłowanego — w brudach moralnych!

Najnowszy dramat Ybsena, „Pani z morza,“ został przedstawiony 5go bm. w berlińskim teatrze *Schauspielhaus*, w obecności autora. Przede wszystkiem dawniejsze zasługi twórcy „Nory“ i „Upiorów“ zjednały mu burzę oklasków publiczności z najwyższych sfer i inteligencyi, „Pani z morza,“ bowiem, piękny, poetyczny dramat w czytaniu, nie tak korzystnie przedstawia się na scenie. Całości zarzuca krytyka wprowadzenie na scenę zbyt fantastycznych postaci, brak prawdopodobieństwa i mglistą niejasność, co wszystko razem nuży umysł widza i słuchacza. Autor „Pani morza“ pragnie dowieść, że najwyższem pragnieniem i szczęściem kobiety jest swoboda i niezależność; wszystko, co jej nieznane, lub wzbronione, ma dla niej ponętny i niebezpieczny urok. lecz traci go z chwilą, w której przestaje być dla niej nieznanem, lub zakazanem. Pragnienie wolności silniejsze jest nawet u bohaterki Ybsena od głębokiego uczucia miłości dla narzeczonego, odkąd pozyskała prawo wyboru, zyskała wraz siłę zrzeczenia się wszystkiego, co dotąd najmilszem było jej marzeniem.

Zapowiedziany przez codzienne pisma miejscowe odczyt na cel dobroczynny p dr. Bronisława Dembińskiego, docenta wszechnicy Jagiellońskiej, na temat: „Upadek polityczny i utrata niepodległości Włoch w epoce odrodzenia“ — zgromadził na sali bazarowej w zeszłą niedzielę o godz. 5½ z wieczora liczną, przeważnie z miejscowej inteligencyi złożoną publiczność. Szanowny prelegent wywiązał się pod każdym względem znakomicie ze swego zadania. Odczyt też w mowie będący wywarł silne na słuchaczach wrażenie, odznaczając się tak bogatą, pełną głębokich poglądów treścią, jako i elegancką, wytworną prawdziwie klasyczną formą, zdobną w krasomówcze zwroty i świetny język, naginany odpowiednio do rozwijanych szeroko pojęć z mistrzowską wprawą i łatwością.

Promyki.

Zebrała Helena Wituska.

Człowiek, co nic nie wie, prócz pierwszych prawd, z którymi się urodził, a które rozwinęło w nim życie uczciwe i pracowite, często wyższy jest od mędrca, co wszystko wie, w nic nie wierzy i nic nie czyni.

J. I. Kraszewski.

Ten, kto niezdolny uznawać godności ludzkiej, nie umie jej także w samym sobie szanować.

H.

Kiedy nieszczęście uderzy w kobietę,
Cicha tam skarga i łzy płyną skryte,
I choćby skonać — wszystko w sobie stłumi,
Bo też kobieta tylko cierpieć umie.

Lucyan Siemieński.

Kochać ojców swoich wiarę
I rodzinny kraj nad miarę,
Widzieć rozkosz w poświęceniu,
Czcić z zapałem wzniosłe czyny,
Krzyż codzienny nieść w milczeniu
I przebaczać bliźnim winy;
Nie upaść — choć ból przygniata,
W sercu uczuć skarby chować,
Mało wymagać od świata
I modlić się i pracować,
Ufać i cierpieć i wierzyć,
O umysłu dbać zalety,
Wkoło siebie szczęście szerzyć —
Oto zadanie kobiety!

Deotyma.

Kobiety więcej mają odwagi niż mężczyźni, ci często narażają życie — tamte więcej, niż życie, bo szczęście.

Cierpienia serca zarówno gniotą najbogatszego, jak i najuboższego człowieka. Król i żebrak są wobec nich równymi sobie. Praca jest najlepszem i jedynem lekarstwem na uciszenie żalu serdecznego.

Najlepszym sędzią na miłość jest przyjaźń — i odwrotnie: najgorszym sędzią na przyjaźń jest miłość. I nie dziw. Miłość prócz siebie nic nie widzi, podczas gdy przyjaźń wszystko widzi, prócz siebie.

Deotyma.

HUMORYSTYCZNE.

Sędzia do oskarżonego: Udowodniono zatem, żeś kradł drzewo w lesie; czy byłeś już kiedy za podobny występek karany?

Oskarżony: Nie, dzięki Bogu, bo nikt mnie dotąd na tem nie schwytał.

Ojciec: Chłopcze, mów prawdę.
Syn: Ja się boję.
Ojciec: A czego się boisz?
Syn: Bo tatka nieraz mówi, że prawda w oczy kole.

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁÓWKI

w n. 8 „Domu polskiego":

1. Pustowojtów. — 2. Izyda. — 3. O'Connel. — 4. Terpsichore. — 5. Ruhr. — 6. Sudety. — 7. Epopea. — 8. Malmaison. — 9. Eryk. — 10. Nana. — 11. Emanuel. — 12. Nibelungi. — 13. Kinkston. — 14. Obelisk. — 15. Iugurta.

Piotr Semeneńko i Waleryan Kalinka.

Dobre rozwiązania nadesłali: pp. B. Białkowska z Lubostronia, T. Zielińska z Lublińca, p. T. Kuczyński z Działowa; — pp. Antonina Bronikowska, Marya Adamska, Agnieszka Duninówna i Helena Wituska z Poznania.

Wylosowaną nagrodę otrzymała pani Antonina Bronikowska z Poznania.

ŁAMIGŁÓWKA

ułożona przez Władzię R. z Torunia.

ZGŁOSKI: a, dziłł, e, jun, kryt, lus, mier, mu, na, nieś, nik, o, ra, ro, ta, te, tel, to, zy.

Znaczenie wyrazów: 1. Założyciel starożytnego miasta. — 2. Muza. — 3. Sławny botanik. — 4. Poeta grecki. — 5. Ojciec kościoła z IV wieku. — 6. Kwiat.

Początkowe i końcowe głoski, czytane z góry na dół, składają nazwiska dwóch patryotów polskich z czasów rozbioru.

Szarada.

(Ułożyła Władzia R. z Torunia),

Pierwszą i drugą przeczytawszy razem,
Widzisz codziennie za Bożym rozkazem,
Zmienia się często w jesieni i w wiośnie,
Zza chmur gdy słońce błyśnie radośnie.
Trzecia — zwierzątko, nie chodzi wszakże,
Cofa się tylko — strzeż się jednakże,
Silne ma palce, próżno się bronisz,
Gdy cię pochwyci, łzy z bólu ronisz.
Całość — to człowiek; los nienawistny
Ściga go wszędzie, jak wróg osobisty;
Wspomóż go, siostro, gdy ci się powodzi,
Pociesz choć słówkiem, Bóg ci to nagrodzi.

LISTKI.

„Bezimiennej": Każdą okazaną pismu naszemu życzliwość wysoko sobie cenimy; więc i Szanownej Pani wdzięczni jesteśmy za nadesłany nam artykuł: „Koncert podsłuchany" i łaskawą obietnicę nadsełania części swych prac „Domowi polskiemu", ale od raz przyjętej reguły nieżamieszczania anonimów odstąpić nie możemy. Powtarzamy, cośmy już na tem miejscu wielokrotnie wypowiadali: że każda redakcya znać chce i musi swych współpracowników. Zechciej przeto, Szan. Pani, odkryć swe *incognito* redakcyi „Domu polskiego", na której sumienną dyskrecyą liczyć Szan. Pani możesz najzupełniej.

Panu T. Kucz. w D.: Dziękujemy za „Promyki", lecz prosimy o oznaczenie ich autorów — moglibyśmy w podaniu niektórych pomylić się.

P. p. S. i W. Prosimy uprzejmie o więcej humorystycznych zdań, uwag, anekdot i t. p.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.